

Dariusz Gawin, Polityka historyczna - próba bilansu (Arcana, nr 90)

To tak jak z fundamentem jakiejś budowli – patrząc na nią widzimy mury i tylko domyślać się możemy, że wspierają się one na fundamentach. Podobnie jest z głębokim konsensusem co do pamięci: on jest, lecz nad nim, niczym nad fundamentami wznosi się nasza bieżąca codzienność, targana konfliktami, sporami, rozdarta polemikami na temat sensu przeszłości.

To tak jak z fundamentem jakiejś budowli – patrząc na nią widzimy mury i tylko domyślać się możemy, że wspierają się one na fundamentach. Podobnie jest z głębokim konsensusem co do pamięci: on jest, lecz nad nim, niczym nad fundamentami wznosi się nasza bieżąca codzienność, targana konfliktami, sporami, rozdarta polemikami na temat sensu przeszłości.

Pojęcie polityki historycznej przestało już budzić zasadnicze kontrowersje. Jeszcze dwa lata zdarzały teksty czy nawet całe kampanie publicystyczne, w których dowodzono, że polityka historyczna jest zagrożeniem dla demokracji i może ściągnąć na polskie życie publiczne wszystkie możliwe nieszczęścia. Dzisiaj ton jest już inny i widać gołym okiem, że nastąpiła w tej mierze istotna zmiana. Dwudziestolecie wolności to dobry moment, aby dokonać próby podsumowania sporu o politykę historyczną. Próby – podkreślam, ponieważ dokładny bilans musiałby zawierać szczegółowe i dosyć obfite informacje. Wstępem do

takiego bilansu, jak się wydaje, może być wskazanie kilku punktów, ukazujących skalę zmiany, jaka zaszła w naszej debacie publicznej w ciągu ostatnich kilku lat.

Po pierwsze zatem – samo pojęcie. Jest rzeczą charakterystyczną, iż nie tak dawno jeszcze użycie pojęcia polityki historycznej wzbudzało u jego krytyków wszelkie objawy publicystycznego szału. Zanim ktokolwiek dotarł do meritum sprawy, wytaczano najcięższe zarzuty przeciwko samemu łączeniu polityki i historii. Sugerowano tu recydywę najgorszych praktyk PRL-u, tropiono autorytarne ciągoty, rozdzierano profesorsko-kapłańskie szaty. Dzisiaj sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Samo pojęcie stało się już na poły neutralnym określeniem pewnej sfery życia publicznego, w której demokratyczne państwo ma oczywiste dla większości opinii publicznej zobowiązania. Używają go nie tylko publicyści, lecz także politycy zarówno opozycyjni, jak i wywodzący się z obozu rządzącego. Dawni najzagorzalsi krytycy samego pojęcia wolą wprawdzie mówić o polityce pamięci, jednak – pozostawiając na boku istotne pytanie o różnice zawartą w tym określeniu – zgadzają się z grubsza co do istoty całej sprawy, a nowe określenie daje im poczucie kapitulacji na honorowych warunkach. Istotę zmiany w sferze pojęć i debaty publicznej można określić w taki oto sposób: dyskutuje się już nie o tym, „czy” robić politykę historyczną, tylko „jak” ją robić. I jest to wielka zmiana na lepsze, bowiem pokazuje ona, iż zgoda co do konieczności prowadzenia polityki historycznej stała się elementem głębokiego konsensusu polskiej demokracji.

Po drugie – akceptacja samego pojęcia przyczyniła się także do akceptacji zobowiązań władz szczebla państwowego i samorządowego do prowadzenia aktywnej polityki historycznej poprzez wspieranie

dużych instytucjonalnych projektów. Muzeum Historii Polski, Muzeum Drugiej Wojny Światowej, Europejskie Centrum Solidarności, Muzeum Historii Żydów Polskich, projekty upamiętniające Jana Pawła II, w tym największe w Warszawie przy świątyni Opatrzności Bożej czy w podkrakowskich Łagiewnikach – są to przykłady przedsięwzięć o dużej skali, wręcz niewyobrażalnej z perspektywy lat dziewięćdziesiątych, które powstają dzięki wsparciu władz szczebla centralnego oraz lokalnego (a w przypadku dwóch ostatnich – Kościoła). Dodajmy do tego instytucje już istniejące, takie jak Muzeum Powstania Warszawskiego czy Instytut Pamięci Narodowej, a skala przemian w tej sferze staje się oczywista. Prawda, istnieje problem programu powstających placówek, merytorycznej konstrukcji narracji muzealnych ekspozycji – wystarczy przywołać tutaj spory wokół koncepcji Muzeum Drugiej Wojny Światowej w Gdańsku. Jest także problem tempa, w jakim toczą się prace nad nowymi projektami. Niepokoi fakt, iż największe projekty ciągle znajdują się w fazie wstępnej. A jednak upieram się przy tym, że przede wszystkim liczy się zmiana klimatu. Dziś znów – nie spieramy się o to czy wydawać setki milionów złotych z publicznych środków na nowe projekty z zakresu polityki historycznej, tylko jak to robić. Możemy dyskutować o efektywności działań, a nie o ich sensie lub bezsensie. To kolejny element głębokiego konsensusu w sprawach polityki historycznej.

Trzeci element zmian dotyczy treści polityki historycznej. Niepostrzeżenie dla wielu uczestników debaty publicznej ukształtował się i okrzepł pewien zespół symboli i wartości określających historyczną tradycję wolnej Polski po 1989 roku. Niepostrzeżenie – w znacznej mierze przede wszystkim dla wielu sympatyków prawicy. Mają

oni bowiem skłonność do postrzegania swojego obozu jako twierdzy oblężonej przez lewicę i liberałów. Nakłada się tu także traumatyczne doświadczenie lat dziewięćdziesiątych, kiedy to mainstreamowi komentatorzy szydzili z korony w godle jako „temacie zastępczym”, proponowali by „historię zostawić historykom”, obrońców tradycji antykomunistycznej przedstawiali jako „oszołomów” i za Kwaśniewskim proponowali Polakom aby „wybrali przyszłość”. To prawda, tak było, ale tak już nie jest. I to od ładnych kilku lat. Kłopot w tym, że wielu przeoczyło moment zmiany i dalej toczy boje, jakbyśmy mieli rok 1995. Najbardziej wymownym dowodem zmiany były tegoroczne obchody dwudziestolecia wyborów czerwcowych 1989 roku. Dlaczego?

Istotą polityki historycznej zwolenników historycznego kompromisu z postkomunistami była próba usytuowania legendy okrągłego stołu w centrum zbiorowej pamięci wolnej Polski. To właśnie kompromis świątłych przedstawicieli opozycji oraz rozsądnych ludzi władzy miał być aktem założycielskim nowej, demokratycznej Polski. W ten projekt włożono wiele pracy, jednak ostatecznie całe przedsięwzięcie skończyło się niczym. Zwyciężyła solidarnościowa wersja pamięci o istocie przełomu 1989 roku – przełomu, który nie był kompromisem z komunistami, lecz zwycięstwem w walce z nimi. I stąd ostateczny triumf symbolu, jakim jest data 4 czerwca. W tym roku media wszelkiego rodzaju opowiadały ten fakt już jako coś oczywistego, tak, jakby tę datę obchodzono w ten właśnie sposób od zawsze. Nic bardziej mylnego – żeby się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do gazet sprzed dziesięciu lat, gdy pisano wtedy o zapomnianym, wypchniętym przez elity święcie. Znów – malkontent może wskazać na gorszące kłótnie, na

awantury jakie temu towarzyszyły; ktoś inny – i słusznie – może wskazać na oficjalny a nie powszechno-obywatelski charakter tego święta. To prawda, było coś przykrego w tym, że oficjalne uroczystości organizowane przez rząd odbyły się tylko dla ViP-ów, na zamkniętym dla publiczności Wawelu. Wymiar międzynarodowy tej rocznicy, choć ważny, przesłonił tym samym obywatelski wymiar tego święta. A jednak pomimo całej goryczy i niedosytu jaki można odczuwać, generalne przesunięcie akcentów – z okrągłego stołu na wybory czerwcowe – jest faktem.

Tryumf narracji o zwycięstwie Solidarności nad komunistami 4 czerwca 1989 roku wpisuje się w szerszy kontekst. Obchody czerwcowe, w tym przede wszystkim sposób, w jaki tę rocznicę potraktowały media, oraz uznanie przez sejm 1 sierpnia za narodowy dzień pamięci o Powstaniu Warszawskim stanowią zwieńczenie procesu powstawania głębokiego konsensusu dotyczącego wizji aksjologicznej pamięci niepodległej Polski. Jej osią przewodnią jest pamięć wojny jako doświadczenia dwóch totalitaryzmów, Polskiego Państwa Podziemnego, Armii Krajowej – w tym Powstania Warszawskiego, oporu przeciwko władzy komunistycznej w czasach PRL-u, który znalazł swój najwyższy wyraz w ruchu Solidarności oraz zwycięstwa w 1989 roku, jako momentu nie tyle transformacji demokratycznej, ile odzyskania niepodległości. Organicznym elementem tej narracji jest także pamięć o roli kościoła, w tym przede wszystkim pamięć o roli Jana Pawła II. Z grubsza biorąc, taka narracja jest zgodna z narracją, którą można określić jako „solidarnościową” – zarówno z okresu „karnawału” lat 1980-1981, jak i stanu wojennego.

W obrębie tej narracji można także dostrzec interesujące przesunięcia akcentów. Z jednej bowiem strony jest to narracja afirmatywna, zachowująca ciągłość historyczną z tradycyjną wersją patriotycznej pamięci zbiorowej. Tę tradycyjną wersję pamięci budowano zarówno na wątkach martyrologii, jak i bohaterstwa. Oba zresztą były także tradycyjnie obiektem ataków lewicowej i liberalnej inteligencji, która afirmatywne podejściu do pamięci zbiorowej przeciwstawiała model patriotyzmu krytycznego. Nowa wersja pamięci wolnej i demokratycznej Polski – nazwijmy tę wersję pamięci zbiorowej pamięcią neo-solidarnościową – choć stanowi kontynuację tradycyjnej narracji historycznej, zawiera jednocześnie elementy nowe i jednocześnie przejmuje także niektóre elementy tradycji krytycznej. Jest to zatem – jeśli tak można to określić – pamięć aksjologiczna dostosowana do warunków współczesnych, pamięć nowoczesna w formie i unowocześniona w treści (to połączenie być może tłumaczy też sukces tej narracji w młodym pokoleniu). Te nowe akcenty kładą nacisk na ideę wolności oraz na wątki republikańskie w polskiej tożsamości politycznej. Pomnik Polskiego Państwa Podziemnego stojący przed budynkiem polskiego parlamentu, syreny na 1 sierpnia, radość ze zwycięstwa w czerwcu 1989 roku, дума z Solidarności jako ruchu, który zadał pierwszy cios komunizmu w skali globalnej – wszystkie te elementy aksjologicznej pamięci zaświadcniają o zasadniczym elemencie polskiej tożsamości: o uporczywym obstawaniu przy idei wolności. Właśnie nie tyle o cierpieniach i bohaterstwie, lecz przede wszystkim o determinacji w obronie wartości ważnej dla każdego demokratycznej wspólnoty politycznej. Taka perspektywa pozwala wykroczyć poza zakłętę dychotomię budowane przez tradycję krytyczną: romantyzm-realizm, bohaterszczyzna-praca organiczna, дума narodowa-wstyd narodowy. Jednocześnie jednak pozwala nadać

polskiemu doświadczeniu wymiar uniwersalny, co było zawsze postulatem zwolenników patriotyzmu krytycznego. Uniwersalny, lecz jednak zakorzeniony w doświadczeniu lokalnym, narodowym.

Nazywam ten nowy konsensus dotyczący pamięci demokratycznej wspólnoty politycznej Polaków „głębokim”. To słowo ma podwójne znaczenie. Z jednej strony chodzi o jego ugruntowanie, zakorzenienie. W takiej formie, w jakiej on obecnie funkcjonuje, jest on elementem milczącej zgody większości. Milczącej, lub inaczej – jest on elementem swoistej poprawności politycznej, wyznaczającej warunki brzegowe publicznej debaty (swoją drogą to ciekawa okoliczność: prawicowa publicystyka, na ogół skoncentrowana na walce z lewicową poprawnością polityczną, przegapiła moment, w którym udało się jej samej stworzyć całkiem efektywne mechanizmy kontrolowania dyskursu publicznego). Można głosić odmienne wersje zbiorowej pamięci, ale sytuują się one poza obszarem centrum. Symbolicznym potwierdzeniem jest wspomniany pomnik Polskiego Państwa Podziemnego przed polskim parlamentem – innego nawet nikt nie proponuje. W każdą rocznicę wybuchu powstania warszawskiego powraca spór o słuszność decyzji o jego wybuchu. Ale 1 sierpnia został Narodowym Dniem Pamięci i nie sposób sobie wyobrazić, żeby ktoś chciał przekreślić tę uchwałę polskiego sejmu. Partia rządząca i największa partia opozycyjna mogą toczyć ze sobą polityczny bój na śmierć i życie, ale obie wspierają tę neo-solidarnościową wersję pamięci aksjologicznej, bo obie wywodzą się przecież z Solidarności. To prawda, że zwycięstwo tej narracji nie zwalnia z obowiązku jej obrony w momentach zagrożenia – jak choćby w ostatnich tygodniach, gdy marszałek Niesiołowski próbował zakwestionować obowiązującą dotąd,

zdawałoby się, że również oczywistą dla każdego trzeźwo myślącego Polaka, kwalifikację zbrodni katyńskiej jako zbrodni ludobójstwa. Takie rzeczy będą zdarzały się z pewnością niestety zdarzyły w przyszłości, ale starczy nam chyba energii, aby podobne opinie zepchnąć na margines.

Konsensus wokół pamięci aksjologicznej jest głęboki także w drugim znaczeniu. Głęboki – czyli ukryty, skryty na co dzień. To tak jak z fundamentem jakiejś budowli – patrząc na nią widzimy mury i tylko domyślać się możemy, że wspierają się one na fundamentach. Podobnie jest z głębokim konsensusem co do pamięci: on jest, lecz nad nim, niczym nad fundamentami wznosi się nasza bieżąca codzienność, targana konfliktami, sporami, rozdarta polemikami na temat sensu przeszłości. Awantury czy zagrożenia siłą rzeczy przyciągają bardziej naszą uwagę na co dzień. Ale podejmując próbę bilansu, warto pamiętać także o tym, co kryje się głęboko, tam gdzie znajdują się prawdziwe fundamenty naszej zbiorowej tożsamości. Dwadzieścia lat zajęło ich trwałe posadowienie. Ale one już tam są i na trwałe – mam nadzieję – pozostaną.